



KOSMOGRAFIA ZAZDROŚCI

KIR BUŁYCZOW

(Kosmografia riewności)

– **O**nie – twardo oświadczyła Ksenia Udałowa. – Po małego więcej do przedszkola nie pójdę.

– Co za giez mamę ukąsił? – zapytała synowa Margarita. – Słowo daję, wstyd mi za mamę.

Ksenia nie wdała się w dyskusję, poszła do kuchni, żeby gotować kapuśniak i cicho popłakiwać. Kiedy takie lzy wpadają do kapuśniaku, to wychodzi z niego raczej słońca ogórkowa, każda lza jest jak łyżeczka maggi.

– Ześwirowała – powiedziała Margarita do swojego męża Maksyma Korneliuszowicza.

– O kim mówisz? – zapytał Maksym otwierając piwo.

Nalał ojcu.

Korneliusz Iwanowicz łyknął i powiedział:

– Za moich czasów było tylko „Żygulowskie” i nie dawali więcej niż jedną butelkę na leń. Ale jakie to było piwo!

– Wczoraj nie poszła na targ – ciągnęła Margarita. – Prosiłam ją po ludzku, przecież wiecie, szanuję mamę Ksenię, ale ona zero uwagi. Powiada, że na targ nie pójdzie, nawet po ulicy Czerwonopartyzanckiej nie może chodzić. Jakby nie chodziła po niej przez całe życie.

– Wiek ma znaczenie, mimo całego twojego szacunku – rzucił Maksym.

Korneliusz nie wtrącał się do rozmowy. Zamyślił się. Znał lepiej swoją żonę. Coś się z nią działo niedobrego. Z ludzkiego punktu widzenia jej zachowanie było wytłumaczalne, ale człowiek w ten sposób się zachowujący był istotą niezwykłą.

Maksym postanowił, że powalczy o pokój w rodzinie i rzekł:

– Dobra, sam się do przedszkola przejdę, a ty, muśka, odniesiesz jutro mój garnitur do pralni, zgoda?

– Do jakiej pralni? – zapytała Ksenia.

– Do tej na byłej Serafimowicza – powiedziała Margarita.

– I proszę mój kostium szary wziąć.

– Na Serafimowicza nie mogę – odezwała się Ksenia z kuchni.

Zapadła głęboka cisza.

Serafimowicza była tuż, tuż, po sąsiedzku.

– Czyli, muśka, nie chcesz, co? – zapytał Maksym.

– Czyli, mamó, nie masz zamiaru? – zapytała synowa.

– Nie mogę, Bóg mi świadkiem, słowo pioniera.

– Przecież jeszcze w ubiegłym tygodniu tam chodziłaś – przypomniała sobie Margarita.

– W ubiegłym tygodniu, można powiedzieć, przypominałam jeszcze żywego człowieka – oświadczyła Ksenia i głośno pociągnęła nosem.

W tym momencie Korneliusz wstał i wyszedł na podwórko.

Poza Ksenią nikt nie zauważył jego odejścia. Od chwili kiedy Udałow przeszedł na emeryturę, wielu przestało go zauważać. Zwłaszcza w rodzinie.

Ksenia podeszła do okna, żeby obserwować, kiedy wyjdzie z budynku i dokąd pójdzie. Ale Udałow się nie pojawił, czyli poszedł na parter albo do Grubina, albo do profesora Minca.

Ksenia słyszała głosy syna i synowej, donośne, a nawet przenikliwe, wypowiadały mocne i nawet upokarzające sło-

wa, ale Ksenia nie wnikała w ich treść. Patrzyła na ulicę, na wędzące listowie, bure z powodu upalnego lata, które spowodowało, że liście nie zaznały tym razem żółknięcia. Jesień tego roku była brzydka – nie złoto, tylko samo błoto. A życie Kseni też się nie udało. Tak naprawdę była kobietą nieszczęśliwą.

– A mama dokąd? – zapytała synowa.

– Nie twój interes.

Ksenia zeszła po skrzypiących schodach. Budynek był stary, barak z lat trzydziestych, dawno należało go zburzyć, a lokatorów przenieść do czteropiętrowców o podwyższonym standardzie. Wszyscy poprzednicy Korneliusza na jego stanowisku w przedsiębiorstwie budowlanym, jak również ci, co nastali po nim, wszyscy zbudowali sobie wille, daczki albo przynajmniej mieszkania w elitarnym domu na Marksistowskiej. Tylko Udałow został w przekrzywionym domu pod 16 na Puszkina.

Coś ją dziś drażniło. Nawet zapachy na klatce schodowej wydawały się jakieś zastarzałe, niemal starożytne, kuchenne i obce. I szkło muchy zabrudziły tak, że światła nie widać. Dawno temu należało je umyć, ale kto się szarpnie na taki wysiłek?

Ksenia zeszła na parter, zatrzymała się przed drzwiami profesora Minca. Drzwi były zwyczajne, wszystko przez nie słyhać, tyle że Korneliusz z Mincem nie stali pod drzwiami, tylko siedzieli w pokoju i ich głosy brzmiały niewyraźnie.

– A dałeś jej podstawy? – pytał Minc.

– Jakie znowu podstawy?! Znasz mnie przecież od trzydziestu prawie lat. Jakie mogą być podstawy w naszym miasteczku, gdzie każdy każdego zna z twarzy?

Roześmiał się jakoś dziwnie. Minc też się roześmiał.

– Nie przesadzaj, Korneliuszu... Chcesz kawałek dyni? Przyniosła mi pewna kobieta. Rozpieszcza mnie.

Potem głosy oddaliły się i już nic nie dało się zrozumieć. Ksenia westchnęła.

– Dobrze – powiedziała na głos. – Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni.

Wyszła na ulicę Puszkina i skierowała się do centrum. Dotarła do placu Odkrywców, ale na samym brzegu jakby ją kto batem po nogach chlasnął.

Ani kroku dalej!

Znieruchomiała.

Przed sobą widziała hotel. A jeszcze bliżej sklep „Wszystko dla Działkowicza”.

Właśnie! To ten sklep. Złowieszcze drzwi uchylone i prowadzące do ponurego półmroku, z którego niczym narzędzia tortur wyglądają grabie...

Ksenia zmrużyła z przerażeniem oczy i cofnęła się.

I tak cofała się dobre dwieście metrów, aż w końcu wpadła na pomysł, żeby się odwrócić. Niech się z niej śmieją, niech ją obrażają. Skoro kobieta nie ma możliwości obrony swojego honoru na przykład poprzez pojedynek, to może demonstracja słabości okaże się bardziej przekonująca niż zwykła siła?

I Ksenia skierowała się z powrotem do Minca. Przed drzwiami zatrzymała się i chwilę nasłuchiwała – w jej planach nie leżało spotkanie z mężem. Za drzwiami panowała cisza, potem dał się słyszeć cichy głos profesora. Śpiewał znaną piosenkę „Money-money-money” o władzy pieniędzy. Czyli jest sam.

Ksenia lekko zaskrobała w drzwi.

– Wchodź, Kseniu – odezwał się zza drzwi profesor.

– Dzień dobry, Lwie Christoforowiczu – powiedziała Ksenia. – Jak się domyśliłeś, że to ja skrobie?

– Dedukcja, przyjaciółko, dedukcja, szare komórki mego mózgu wyliczyły, że skoro w rodzinie Udałowych narodził się problem i przyszedł do mnie porozmawiać o nim Korneliusz Pawłowicz, to nieuchronnie pojawi się również druga strona konfliktu. Co prawda nie wiedziałem, że tak szybko. Siadaj, Kseniu, opowiadaj.

– Bo on się przecież przyznał – odpowiedziała Ksenia, ale usiadła w nowym fotelu, kupionym w Szwecji przez jednego z wielbicieli profesora, który uznał, że Minc ostatnimi czasy robi mniej odkryć, ponieważ stary fotel całkowicie się przetaił, aż sprężyły sterczą na zewnątrz. – Skoro ten niegodziwiec się przyznał, to ja milczę.

– Do niczego się nie przyznał – nie zgodził się z nią Minc. – I obawiam się, że Korneliusz nie ma do czego się przyznać.

– Milcz, Lwie! – parsknęła Ksenia. – Bo i za ciebie się wzmę. To hańba, żeby mężczyźni kryli jeden drugiego.

Minc wystraszył się.

Człowiek jest istotą wielopłaszczyznową, a Minc szczególnie. I dlatego też nie zawsze jest konsekwentny w swoich czynach. Można postawić Lwa Christoforowicza na podium w sali, gdzie rozdaje się nagrody Nobla, i zaproponować mu wygłoszenie mowy bez papierka. Zrobi to spokojnie. Nie poruszą go nawet spojrzenia członków Szwedzkiej Akademii Nauk czy uśmiech szwedzkiego monarchy. Ale stając przed kasjerką w spożywczym traci rezon i zachowuje się jak uczeń, do administracji chodzi rozdygotany, a Ksenia Udałowa jest w stanie doprowadzić go do słabości w kolanach.

Minc wiedział, że wizyta Kseni jest nieuchronna i bliska, wiedział, że Ksenia zażąda od niego ochrony przed mężem, wszystko odgadł i przewidział, ale nie był w stanie udzielić odpowiedzi odmownej, co było jedynym możliwym sensownym działaniem z jego strony.

– No to opowiadaj o symptomach – westchnął. – Chcesz herbaty?

– Ja już niczego nie chcę.

– Mów.

– Nie wiem, co tu mój ślubny plótl, ale powiadam ci z całą odpowiedzialnością: broda siwieje, korzeń zielienieje. Rozumiesz mnie?

– Korneliusz na takiego nie wygląda.

– A ty nie jesteś dziewoją, żeby patrzeć, jak on wygląda. A istota w spódnicy jest... ach, co tam gadać. Powieszę się!

– To już przesada.

– Wiem, że przesada. Lepiej by było jego udusić, ale ręka mi się nie podnosi.

– Kseniu, bez dygresji.

– Dobra, już nie będę. Znasz ichnię księgową?

– Z biura?

– Właśnie. Nie widziałeś? No to ci powiem – waran z Komodo. Potwór lądowy.

Ksenia oglądała sporo programów oświatowych w telewizji i dlatego warany z Komodo były dla niej istotami zrozumiałymi i nieobcymi.

– Kontynuuj – powiedział Minc.

– Dalej jest jeszcze gorzej. W naszym nabiałowym ekspedientka to raz, a na rynku w sklepie „Wszystko dla Działkowicza” taka Tatarka, że niechby czadrę nałożyła! Mam dalej wyliczać?

– To są wszystko podejrzone pasje twojego Korneliusza? – zapytał Minc, chociaż mógł nawet nie pytać, i tak wszystko było jasne.

– Nie szermuj słowami – poprosiła Ksenia. Łzy nabiegły jej do oczu, w każdej chwili mogły spłynąć po purpurowych policzkach. – Zrozum moje położenie. On sobie w przedszkolu jedną taką wynalazł. Ona może mieć co najwyżej szesnaście albo dwadzieścia lat! Przecież jego powinno się posadzić za rozpustę. Inna sprawa, że teraz takie Lolity się pojawiły, że emeryta też ciągną do łóżka i jeszcze go oskubają.

– Jak?

– Przegryzają i pustoszą kieszenie – powiedziała Ksenia. – To jest niezwykle smutne, czego ich w tych szkołach uczą. A może właśnie tego uczą...

– Kseniu, powiedz, a nie zastanawiałaś się, czy te wszystkie kobiety nie są aby wytworem twojej wyobraźni?

– Nie powtarzaj jego słów. Bo skończę z nim i ze sobą. Poczekaj lepiej, aż ci wszystkie wyliczę. Myślisz, że Korneliusz



na ryby jeździ? Jeśli w to wierzysz, to jesteś głupio naiwny. On ukrywa wędkę w lesie pod krzakiem, a sam na skróty pędzi na kolonię do jednej takiej mleczarki.

– Do mleczarki?

– Jędrna taka, krew i mleko, pewnie – mleczarka. Znam jej adres, jeszcze trochę i ją podpalę.

– Tylko nie wysadzaj w powietrze – poprosił Minc. – Wszystkie gazety od razu napiszą, że to czeczeński terrorizm.

– Jaki znowu terrorizm?!

– Uspokój się, powiedz lepiej, czego ode mnie oczekujesz?

– Ratunku.

– Jak mogę cię poratować, Kseniu?

– Coś się ze mną dzieje. Wychodzę na ulicę i nogi mi odmawiają posłuszeństwa. Nie mogę iść po Czerwonopartyzanckiej. Zabij – nie mogę!

– Co jeszcze?

– Co jeszcze? To zadziwiający fenomen. Dusi mnie zazdrość. Wyobrażam sobie, jak on, stary rozpustnik, maszeruje objęty z nią do przedszkola...

– Po co?

– Po co? Żeby się całować podczas leżakowania, dzieciaczki tylko oczka zamkną, a ten zaczyna się z nią obmacywać po kątach.

– Och!

– No właśnie. A kiedy wychodzę na plac Odkrywców, na który się idzie w drugą stronę naszą ulicą, to widzę szyld „Wszystko dla Działkowicza” i wiem, że właśnie tam spotyka się ze swoją Tatarką. Właśnie tam wymienia z nią namiętne spojrzenia. Rozumiesz?

– Patologia – oświadczył Minc.

– Dla was może to jest patologia albo mammologia, a ja pragnę śmierci. Zazdrość mnie dusi w tym miejscu.

– W jakim miejscu?

– W gardle – zdziwiła się kobieta. I dodała: – A gdybyś poszedł obok cerkwi Paraskiewy Piatnicy, to tam jest przystanek autobusowy. Wiesz po co?

– Po co?

– Żeby ta moja kanalia mogła rano z księgową się spotkać. Spotykają się i od razu włączają do autobusu! I zajmują się rozpustą.

– W autobusie?

– W autobusie też.

– Wątpię raczej.

– Czyli jesteś, Lwie Christoforowiczu, niedostatecznie rozpustny. Nie wiesz, do czego są zdolne niektóre samce!

– Mówisz o Korneliuszu?

– Że też mnie lichy podkusiło wyjść za niego! – jęknęła Ksenia tak głośno, że Korneliusz, który akurat wyszedł na klatkę schodową zapalić, skulił się, niczym jeź pod łapą niedźwiedzia.

– Czy od dawna tak jest? – zapytał Minc nie kryjąc ironii.

– Od czterdziestu lat żyję na krawędzi śmierci.

– Dlaczego wcześniej się nie rozwiedliście?

– Wcześniej, póki demokraci nie rozwalili Związku Radzieckiego, zawsze był komitet partii, do którego można było pójść i powiedzieć wprost: nie jestem dłużej w stanie żyć z takim potworem. Natychmiast proszę go oderwać od tej dziewczyny i przywrócić rodzinie. A teraz my wszystkie, baby, same sobie zostałyśmy, bez partyjnej obrony i pomocy! Wykańczamy się.

Lew Christoforowicz wyjął z szuflady plan miasta Wielki Guslar i rozłożył go na biurku.

– Zobaczmy – rozmyślał na głos. – Jeśli musimy iść na targowisko i nie możemy iść po Czerwonopartyzanckiej, to nic prostszego, jak skręcić na Zofię Pierowską...

– Chyba zwariowałeś! Już dwadzieścia lat temu na tej ulicy mrugał do Maruśki Einstein.

– Nie jest chyba krewną tego Einsteina? – zainteresował się Minc.

– Z technikum wyleciała za brak postępów. No to siedzi w oknie i puszcza oko. A ten mój od razu – mruga do niej w odpowiedzi.

– Widziałaś to?

– Ludzie powiedzieli.

– A może jednak z powodu przedawnienia wykreślimy Pierowską?

– Dla mnie wydarzenia sprzed dwudziestu lat są całkowicie żywe. Jak dziś! Nie mogę iść tą ulicą. Lepiej już umrę.

– A co z Zaułkiem Niemilewonnym? – zapytał Minc. – To jest z boczków, nad rzeką.

– Nie, no chcesz mnie do grobu wpędzić! – obruszyła się Ksenia. – Zapomniałeś, co się tam kryje?

– A co się tam kryje?

– Ona. Trucicielka, Lukrecja Borgia, własnego męża załatawiła i trafiła do historii.

– Jakoś nie przypominam sobie takich w naszym mieście...

– A Zinka? Czy wiesz, naiwny profesorze, że ta Zinka w osiemdziesiątym, nie, osiemdziesiątym siódmym omal z Korneliuszem do Paryża nie zwała?

– Niemożliwe!

– Ja też w pierwszej chwili nie uwierzyłam, kiedy mi stara Łożkina opowiedziała. Ale potem w jego oczach wszystko wyczytałam. Czyli nawet sobie nie marz – przez Zaułek Niemilewony za nic nie będę chodziła.

Rozmowa trwała ponad godzinę, Minc w jej trakcie zakreślał niebieskim flamastrem te ulice, po których zazdrośna Ksenia nie mogła chodzić, i te place, na których Udałow wymieniał spojrzenia ze swą kolejną ofiarą. Ku przerażeniu Lwa Christoforowicza pod koniec owej godziny okazało się, że emocjonalnie pokąsana Ksenia w ogóle nie może poruszać się po mieście, ponieważ ciągle natyka się na kochanice, znajome czy inne kobiety Udałowa. Wewnętrzny wstręt do tych rozpustnic i męża, który im sprzyjał, były tak wielkie, że Ksenia wołałaby zamknąć się w domu i dokończyć żywota w izolacji.

– No to co będziemy robić, doktorze? – zapytała Ksenia z pewnym zadowoleniem i nawet dumą w głosie, ponieważ sytuacja była unikatowa i zarazem zabójcza.

– Może... – Profesor zamyślił się na długo.

Po kilku minutach olśniła go odkrywca myśl.

– A może skrzydła? – zapytał. – Istnieje taka możliwość. Zrobimy ci skrzydła, silniczek na plecy i polecisz...

– Polecę? I huknę w ziemię? I zostawię wnuki bez babci?

– Ryzyko istnieje, ale jest niewielkie.

– Nie – stanowczo odparła Ksenia. – Bo z nieba będę widziała wszystkie miejsca rozpusty, wszystkie domy jego kochanic i kokietek. No i wtedy od razu huknę.

– Ta-a-ak...

I Minc znowu na długo się zamyślił. Potem rzekł:

– Przyjdzie mi, Kseniu, podzielić się z tobą wielką kosmiczną tajemnicą.

– O, to mi się bardziej podoba – powiedziała kobieta. – Dziel się.

– Nauka dopiero zbliża się do tego zagadnienia – powiedział Minc. – Wielu nawet jeszcze nie wierzy w jego istnienie.

– Mnie to urządza. Jeśli tylko sprawa jest pewna.

– Pewna, zaufaj mojemu doświadczeniu.

– No to wal.

– Ziemia pod naszymi stopami jest z jednej strony planetą, z drugiej – pustką – powiedział Minc szarpnąwszy się za koniuszek ucha, ponieważ też z trudem wierzył we własne genialne odkrycie. – Dowolne ciało materialne może przejść od

punktu „a” do punktu „b”, o ile będzie dysponowało urządzeniem, powiedzmy, kluczem do poruszania się w umownych tunelach, które przenikają cały Wszechświat. To są jakby tunele metra, tyle że jednocześnie tworzą nieprawdopodobny labirynt.

– Czyli chcesz, żebym włąziła pod ziemię? – zapytała Ksenia. – Bez światła, w błocie, a potem żebym wyłąziła z tych piwnic, czy tak?

– Powiadam ci, kobieto – rozeźlił się Minc – że podziemne tunele są galaktyczną umownością. Teoretycznie udowodnię ci to w mig, ale sam nie próbowałem jeszcze podróży tym sposobem. I nikt inny też jeszcze nie próbował.

– Czyli ja spróbuję i zginę.

– Możesz nie wchodzić głęboko – rzekł Minc. – Możesz tylko postać najpierw przy wylocie. Przyzwyczaj się. Przecież cię do niczego nie zmuszam...

– Nie krzycz na starszą kobietę. Jak będę po nich chodzić?

– Tak jak na zewnątrz – odparł Minc. – Odległości są takie same, wzajemne relacje przestrzenne obiektów nie ulegają zmianie.

– A inaczej?

– Inaczej, od twojego domu do przedszkola jest tyle samo, co po powierzchni.

– Nie rozumiem. I co, wyleżę tam z kanału?

– Nie, pójdziesz po ziemi. Nikt nawet nie zauważy.

– Coś kiwasz starą babę, Christoforycz. Jakże to ja pójdę pod ziemię i wyleżę niepostrzeżenie?

– Dlatego, że będziesz się znajdowała nie pod ziemią, a pod wirtualną ziemią. Jeśli Wszechświat jest organizmem, to musi być przeszyty cieniutkimi naczyniami, niezliczonymi! One są w ciągłym ruchu, ciągle pulsują, a jednocześnie są stabilne i stateczne, właśnie od ich stabilności zależy w dużym stopniu stabilność Wszechświata jako systemu.

– Czyli wleżę...

– I wyjdiesz, gdzie należy. Tylko nikomu ani słowa – ludzkość jeszcze nie jest gotowa, a siły militarystyczne od razu zechcą wykorzystać moje genialne odkrycie dla swoich niecnych celów.

– No to pokaż.

– Ech – westchnął Minc. – Chciałem najpierw sam popodróżować, żeby się dowiedzieć, dokąd dotrę przy pomocy klucza... ale jeśli trzeba pomóc przyjacielowi, to zrobię dla siebie drugi klucz.

Ksenia na początku trochę się bała i nie pakowała się głęboko.

– Ja tylko skoczę na podwórko – powiedziała. – Zdejmę pościel ze sznura.

Klucz nie wyglądał jak klucz, tylko jak pudełko; pudełko Minc zawiesił Kseni na szyi na zwyczajnym łańcuszku. Pokrywka klucza była szklana, a na niej znajdował się plan Wielkiego Guslara. Przy pomocy przycisku można było ustawić wskazówkę na odpowiednim punkcie...

Ksenia ustawiła ją na ulicy dziesięć metrów od bramy na podwórko.

Potem zacisnęła powieki.

I znalazła się we wnętrzościach Ziemi.

To były właśnie wnętrzości.

Wnętrzości Wszechświata.

Niekończące się, splątane naczynia i kapilary, dominujące wrażenie wilgoci, wnętrzanego ciepła i jednocześnie – przeciągi! Po prostu zgroza, jakie przeciągi wieją w trzewiach Wszechświata. Światło w naczyniach było mętne, niepewne i nawet nie wiadomo było, skąd bije... Ściany i podłogi były jędrne i nieco śliskie, nie to, żeby mokre, ale jakieś szczególne.

A odległości takie samiotkie jak na zewnątrz.

Do pralni chemicznej pięć minut marszu. Czyli podziemnym przejściem trzeba iść tyle samo. A to nie zawsze jest przyjemne. Przecież idąc po powierzchni przechodzi człowiek obok sklepów, ptaki widzi, domy i drzewa. A we wnętrzu Wszechświata – tylko ścianki naczyń i niezrozumiałe dźwięki, chlupanie, szloch, jakby za ścianką, w innym przejściu jakieś coś ziemnowodnego pelzło zapolować na człowieka.

– Czy to możliwe? – zapytała Ksenia Minca.



– Niemożliwe – odparł Minc. – Ty i każdy krokodyl, który by tam niechcący trafił, jesteście w różnych wymiarach. Twoje naczynie to tylko twoje naczynie, jasne?

Od tej chwili Ksenia zaczęła chodzić na targ i do sklepów podziemiami Wszechświata.

Ciemnawo, dusznawo jak w brzuchu kaszalota. Dlatego w Biblii jest opowieść o Jonaszu w trzewiach. Musieli wiedzieć o tych przejściach.

Doszła do odpowiedniego miejsca, od razu robi się jasno dokoła – stoi sobie człowiek obok pralni chemicznej i nikt się nie dziwi. W naszych czasach ludzie często giną i pojawiają się, kogo to obchodzi!

Natomiast nie oglądała już przeklętych domów i miejsc, gdzie gromadziły się polujące na Korneliusza rozpustnice. Jakby ich wcale nie było. Pewnie, niewielka może to pociecha, ale jednak wyraźna.

W domu zapanował jeśli nie pokój, to zawieszenie broni. Ksenia przestała się buntować. Już pierwszego dnia załatwiła w mieście masę spraw, więcej niż wcześniej przez tydzień. Z przyjaciółmi się spotkała, ze znajomymi, opowiadała o rodzinie. Jej też opowiadano.

Ale tak już jest skonstruowany człowiek, że nigdy nie osiąga pełni szczęścia.

Pędziła Ksenia przez podziemne przejście i z braku czegoś lepszego do roboty zaczynała myśleć o tym, co teraz robi przekłety amoroso. Korzysta pewnie z jej nieobecności na tym świecie. Spaceruje po Nabrzeżnej z jakąś przyjezdną rusalką. Ale nie można go przyłapać na gorącym uczynku.

Czy nie dałoby się zrobić w tych przejściach dziurek, żeby wyrzeć, sprawdzić męża?

Nie, odpowiedział Minc. Fizycznie niemożliwe. I niebezpieczne. Wszechświat może się rozelić.

Może zamontować telewizor? Monitor, jak w spożywczym, na złodziei kotletów?

Nie uda się z monitorem. Nie ma łączności między podziemiem i powierzchnią.

Ksenia jakby pogodziła się z tym, ale i tak się denerwowała. Po przyjeździe do domu obwąchiwała męża, czy nie zalutuje od niego obca suczka. Sprawdzała jego bieliznę, czy nie nałożył w pośpiechu na lewą stronę.

Jak rozumiecie, sytuacja zmieniała się na lepsze, ale nie do końca.

„Póki istnieje miłość, obok niej gnieździć się będzie zażdrość!” – powiada japoński poeta z XII wieku.

Z takimi słowy dreptała do domu Ksenia, nosiła torbę z targowiska.

I nagle usłyszała obok jakiś niewyraźny dźwięk, jakby ludzki głos, co – jeśli wierzyć zapewnieniom Minca – nie mogło mieć miejsca.

Wcześniej, tydzień temu, kiedy Ksenia dopiero co przeszła na ruch podziemny, wystraszyłaby się, ale teraz już czuła się w kapilarach Wszechświata niemal jak w domu, więc tylko się zainteresowała i ruszyła w kierunku głosu, co nie było łatwe, wszak wędrówka po kapilarach to jakby marsz po labiryncie.

Udało jej się dotrzeć do źródła dźwięku. Nie, nie był to krokodyl ani widmo. Istota nieznanego płci i narodowości, nawet nie wiadomo, z jakiego systemu gwiazdnego, podobna do pomarańczowego pająka i jednocześnie przypominająca kangurę, stała na palcach w podziemnym kapilarze i dęgała w sufit metalowym prętem. Z sufitu sypały się jakieś okruchy.

– Co wy tu wyprawiacie? – zapytała wcale niewystraszona Ksenia.

Istota oderwała się od pracy i odpowiedziała telepatycznie:

– Nie przerywaj mi, potworze!

– Kto potwór – ja?

– A kto by jeszcze?

I istota powróciła do dżgania sufitu prętem.

– Nic z tego – powiedziała Ksenia. – Lew Christoforowicz powiedział mi, że to jest sufit wirtualny, może wcale nie istnieje.

– Mnie też tak powiedziano – odparła istota. – Ale ja już nie mogę tego wytrzymać.

– A co się stało? – zapytała Ksenia.

– Serce mówi mi – powiedziała istota przypominająca kangurzego pająka albo pajęczonego kangura – że mój i tak mnie oszukuje. Kiedy ja się tędy przemierzam, on na randki biega.

– Jesteś kobietą?

– Jeszcze jak. I męczennicą.

– A jak tu trafiłaś?

– Ja tak jestem zazdrosna – powiedziała pajęcza kangurzyca – że nie mogę chodzić tymi drogami, na których mój potwór spotykał się ze swoimi rozpustnicami.

– Czyżby?

Ksenia przyjrzała się istotcie i nietaktownie zapytała:

– Czy on jest podobny do ciebie?

– On nie jest podobny, on jest mężczyzną.

– Ale tak ogólnie?

– Ogólnie to ludzie są jednakowo zbudowani: osiem kończyn, jedna torba na brzuchu, sześć par oczu. Zwyczajnie.

– Rozumiem. Pewnie jego kochanki też mają osiem kończyn?

– Oczywiście.

– No to cofam swoją myśl.

– A jaka była ta myśl?

– Myśl była taka: komu potrzebny jest taki potwór?

– Mnie przede wszystkim – powiedziała pajęcza kangurzyca. – Właśnie chciałam wybić dziurkę, żeby podglądać.

– Daleko stąd mieszkacie?

– W środku Wszechświata – powiedziała nieszczęsna pajęcza kangurzyca. – Na ziemi. A ty co tu robisz?

– To samo – odparła Ksenia. – O, jakże podobne są losy żon w naszej Galaktyce!

Wyjęła zdjęcie Udałowa i pokazała pajęczy.

– Ojej, bardzo straszny potwór!

– Moralnie owszem, ale fizycznie to jeszcze orzeł. Nie śpisz się?

– Nie. Właśnie wracam z pralni.

– Ja też się nie śpieszę. Może wpadniesz do mnie, herbatki się napijemy?

Ksenia już przywykła do widoku nowej znajomej. Potworność jest pojęciem względnym. My też się komuś nie podobamy. Ale najważniejsza jest szlachetność duszy.

Pajęcza kangurzyca zgodziła się.

Ale jak tylko zrobiły trzy kroki, zza rogu wypelzła robalica długa na jakieś cztery metry. Włókła za sobą kontener z ząbkami. Na widok Kseni i pajęczonego kangurzyca zasyczała. Ale nie wystraszyła tym nieszczęsnych kobiet. Zdażyły już zgromadzić wystarczającą porcję życiowego doświadczenia.

– Przepraszam panią – zagadnęła ją Ksenia – ale czy przypadkiem nie jest pani nieszczęsną żoną jakiegoś rozpustnika?

Robalica rozszlochała się głośno i rzekła:

– On ikrę zapładnia nie wiadomo z kim! Nie zniosę tego!

A pajęcza kangurzyca cicho powiedziała:

– Wielki jest Wszechświat. A nasza płeć wszędzie jest nieszczęśliwa.

I kobiety poszły na herbatkę we trójkę. Miały o czym gadać.

Przełożył **EuGeniusz Dębski**